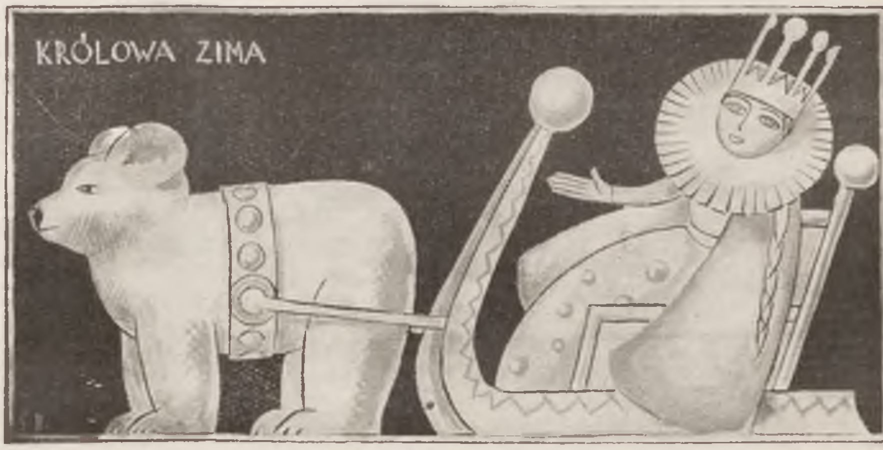
DODATEK DLA DZIECI

do numeru Styczniowego „WIEŚCI Z POLSKI”

ANTONI BOGUSŁAWSKI

STARY MRÓZ



Stary Mróz, biały Mróz
naładował śniegu wóz.
Zaprzągł wichry doń do pary:
jeden młody, drugi stary,
jeden kary, drugi siwy,
ten spokojny, ten płochliwy,
jeden ślepy, drugi głuchy,
a w dodatku — kłapouchy,
jeden duży, drugi mały...
Wcale mu się nie udały!

Stary Mróz nie zważa nic!
Wyrychtował parę lic ,
posmarował szronem osie,
po niebieskiej dudni szosie.
Jak zagaśnie mu latarnia,
to po drodze gwiazdy zgarnia,
przy mijaniu chmury trąca,
nadwyrężył róg miesiąca,
stuka dyszlem w nieba ściany...
Czy ten stary Mróź pijany,

Mróz się upił, że to ha!
A na wozie — babę ma:
Siedzi w śniegu siwa Zima,
garścią się półdrabków trzyma.
— Ej, ty Mrozie, stary Mrozie,
ani chybi — będziesz w kozie!
Kto to widział gnać tak żwawo,
i w dodatku — nad Warszawą?
Jeszcze kogo zgnieciesz w ścisku...
Stańże lepiej przy karczmisku! —

Jak zakręcił stary Mróz,
to wywrócił cały wóz!
Siwa Zima wyleciała,
para licòw się stargała.
Poleciały białe płaty
Matce Bożej na makaty.
Pofrunęły białe puszki
Jezuskowi na poduszki.
Poszły konie — z grubszym cienki —
po kolędzie do stajenki.

Sopel się nad żłobkiem skrzy:
to starego Mroza łzy.
Stary Mróz w okropnym strachu
na stajenki przysiadł dachu,
skrzypi, że mu źle na dworze
(a do środka wleźć nie może,
bo tam od serduszek dzieci
gorejący płomyk świeci)...
Ledwo szparką widzi Bozię —
Dobrze ci tak, stary Mrozie!

Moje wspomnienia z dziecinnych lat

Byłam podówczas czteroletniem dzieckiem, lecz wszystko pamiętam, jakby się to zdarzyło najdalej wczoraj. Było to w wilję Nowego Roku. Leżałam chora w łóżeczku. Przeleżałam Święta, nie mogłam cieszyć się choinką, ani niespodziankami, jakie były przygotowane dla mnie i dla braci. Czułam, jak mama zmieniała mi kompres na głowie, widziałam, jak zaglądali do mnie bracia, aby pokazać mi swoje podarunki i jakby przez sen słyszałam, jak dnia tego Ojciec powiedział do Mamy: „Smutnie zaczyna się Rok Nowy, moja Basiu" Mama westchnęła, patrząc na mnie.

„Usypia" zdaje się powiedziała, i oboje z mojego pokoju wyszli na palcach. Zostałam sama. Do uszu moich dolatywało cichutkie cykanie zegara — płynęły chwile.

Dowidzenia, Stary Roku, dowidzenia, żegnaj, żegnaj... Zdawało mi się, że nagle usłyszałam szmery i szepty w pokoju. Zegar poważnie i wolno począł wydzwaniać godzinę dwunastą, a z ostatniemi uderzeniami pokój zalała jasność, idąca od okna, jakby na niebie ogromnem światłem zapaliły się wszystkie gwiazdy; to wschodził księżyc.

Usiadłam na łóżeczku rozpalona gorączką i rozszerzonemi oczyma patrzałam w okno. Ale wyczerpana z sił i osłabiona opadłam na poduszki. Zasnęłam. Śnił mi się zgarbiony, siwy staruszek. Biała broda, długi szary płaszcz. Z oczu staruszka spływały dwie wielkie łzy. W oknie stał cudny chłopiec ze skrzydłami u ramion. Od skrzydeł tych jasność ogromna spływała na pokój. Złote loki otaczały twarzyczkę wesołą i roześmianą. Chłopiec miał na sobie białą koszulkę, przepasaną srebrnym sznurem. „Płaczesz, Stary Roku"? dziwił się patrząc na łzy staruszka. „Płaczę, bo żal mi zostawić małą dziewczynkę chorą i żal mi wszystkiego dobrego, czego już dokonać nie zdołałem na świecie". „Ty, Nowy Roku, silny, młody i pełen nadziei przychodzisz, a moja godzina już wybiła".

„O Stary Roku, przerwał żywo chłopiec, nie płacz. Wrócę zdrowie dziewczynce, będę się starał, żeby wiele dobra spełnionego na świecie zostało. Mam tu u pasa kluczyk, którym otwieram serca ludzkie.

„Zobaczysz, Stary Roku, jak będzie dobrze, jak wesoło". Nie zobaczę — szepnął Staruszek, bo oto za chwilę rozpłynę się we mgle. Obyś za rok tak wesoły i promienny odchodził, jak radośnie dziś się zjawiłeś. Z tem życzeniem staruszek znikł.

Gdy obudziłam się nazajutrz na świecie był jasny słoneczny dzień. Mróz wyrysował na oknach śliczne fantastyczne desenie. Oczy moje padły odrazu na przeciwległą ścianę, koło której w nocy widziałam we śnie staruszka z siwą brodą.

I zaraz — pomyślałam sobie — ten śliczny Nowy Rok powiesił nam nowy kalendarzyk. Na ścianie widniała biała karta kalendarzowa z cyfrą 1 stycznia.

Zdawało mi się, że jestem zdrowa, a widząc uradowanie oblicza rodziców czułam się jeszcze lepiej. Spełniły się jednak słowa mojego ojca, że źle zaczyna się Nowy Rok, bo tegoż roku na wiosnę opuściliśmy Polskę, z przyczyn nie od nas zależnych, udając się do Rosji.

I odtąd zaczął się paroletni okres tułaczki, ciągłych nieszczęść i trudów z małemi tylko przerwami, zakończony dopiero w wolnej ojczyźnie.

Był to rok 1915.

Natalja Iwanowska

Pies z kotem

Mówią ludzie często o tem,
że ktoś żyje, „jak pies z kotem".
Kto tu spojrzy, ten się dowie,
że skłamało to przysłowie.

Czasem pieska się napotka,
który dobry jest dla kotka
i z chowaną wiewióreczką
z jednej miski pija mleczko.

Niechże każdy z was pamięta,
że gdy zgodne są zwierzęta
to i wam się, mili moi,
kłócić z sobą nie przystoi.

Miejcie zawsze to na względzie...
A ten, co się kłócić będzie,
niech się dowie od nas o tem,
że jest gorszy, niż pies z kotem.



SPOTKALI SIĘ!

Ulicą miejską szedł ubogi i samotny człowiek. Wprawne oko mogło w nim poznać odrazu dawnego żołnierza.

Nie był on jeszcze bardzo stary, ale dziwne zmęczenie widniało w całej jego postaci. Trudy przebyte, czy cierpienia nieznane poorały zmarszczkami jego twarz zastygłą i obojętną.

Plecy miał zgarbione, wytarte choć czyste ubranie i chód bardzo powolny.

Nie była to ta wesoła i beztroskliwa powolność ludzi szczęśliwych, używających wczasu, — lecz smutna powolność ludzi, którzy nie mają się już śpieszyć do kogo, ani do czego, bo ci, których kochali, — odeszli, a to, co ich zajmowało czy cieszyło — dawno już przestało ich radować. Posuwał się tak po ulicach, patrząc sennie przed siebie.

W tem drgnął i stanął.

Rysy jego zmąciły się w jednej chwili, jak poruszona woda. Obojętność pierzchła. Zbudzone nagle oczy, zaczęły się w coś wpatrywać z natężeniem, po drugiej stronie ulicy.

Jakby niewidzialne światło rozjaśniło mu twarz i patrzył... patrzył...

Nie było tam jednak nic godnego uwagi. Poprostu stała obok chodnika jednokonna dorożka, której woźnica zlazł z kozła i przyklęknąwszy koło budy poprawiał coś przy resorach. — Powozik był nieświeży, a koń stary i chudy zwiesił głowę i miał wyraz znużony, spracowany i smutny.

W tego to konia wpatrywał się stary żołnierz.

Nagle przeszedł szybko ulicę, stanął obok niego i położył mu rękę na karku.

— Gniadosz, rzekł zcicha, głosem tak wzruszonym, że był zaledwie słyszalnym.

— Gniadosz — powtórzył głośniej, tyżeśto? tyżeśto, mój stary?...

Głaskał, klepał, pieścił z czułością chudy kark i wyciągniętą szyję zwierzęcia, mówił do niego, zaglądał w oczy...

— Kochany stary — szeptał mu do ucha, kochany koniku, pamiętasz, jak wojowaliśmy razem? Razem!... Wówczas nie byłem sam jeden na świecie, miałem ciebie... przyjacielu!...

— Gniadosz! pamiętasz ty mnie?.. Pamiętasz?..

W głosie człowieka była tkliwość niewymowna i namiętne pragnienie być poznanym.

Koń drgnął pod dotknięciem ręki. Odzwyczaił się widać od łagodnego obejścia. Może myślał, że dostanie batem. Po chwili pod wpływem głosu i pieszczot żołnierza, na dźwięk swego imienia — zaczął strzyc uszami, patrzył na przybysza... wyraz inteligencji niezwykłej, prawie ludzkiej odbił się w jego oczach.

Wtem, podniósł głowę, spojrzał w górę i zarżał!...

Srebrne, radosne, tryumfalne tony tego rżenia wstrząsnęły powietrzem!

I koń poznał przyjaciela.

Żołnierz zarzucał obie ręce na szyję konia, przytulił głowę do jego głowy, i zaczął szlochać, jak dziecko.

Dorożkarz usłyszawszy to niezwykłe rżenie, wyszedł z za budy i spojrzał ze zdziwieniem na swego konia. Nie chciał uwierzyć by to jego własny koń zarżał tak rozgłośnie.

Nie podejrzewał nigdy, nie wiedział wcale, iż to stare drzemiące zwierzę może wydobyć z piersi głos taki, tak przepojony uczuciem i szczęściem.

Podobny błąd popełniamy nieraz i z ludźmi. Nie domyślamy się często, jakie iskry i blaski kryje niejedno serce, pod starą i smutną powłoką.

— Co to takiego? Kto pan jesteś? — pytał dorożkarz, widząc nieznajomego człowieka, tulącego się do konia.

Kilkoro dzieci zeszło się na chodniku i z ciekawością przypatrywało się tej scenie.

— To mój koń... To mój dawny koó żołnierski... bąkał biedak, nie mogąc zwalczyć wzruszenia, — Przepraszam pana, ja zaraz odejdę... Ale on był jak przyjaciel, jak brat... zaraz, przepraszam...

Dzieci zebrane na chodniku zaczęły klaskać w ręce i cała gromadka porwana zapałem, krzyknęła:

— Hurra!!...

Była to śliczna lekcja dobroci dla zwierząt. Z pewnością żadne z dzieci, które to widziały, nie obchodziło się potem nigdy okrutnie z koniem.

Woźnica, prosty człowiek, miał zapewno także dobre serce, bo rzekł przyjaźnie:

— Proszę pana, niech pan go głaszcze, bardzo proszę ,to mnie nic nie szkodzi.

A dzieci wołały:

— Patrzcie! patrzcie! jak podnosi uszy, jak obwąchuje swego dawnego pana. Ach! a teraz złapał go wargami za rękaw! a teraz tuli doń głowę.

Istotnie, koń poznawszy już na pewno pana, nie posiadał się ze szczęścia, i robił wszystko co mógł aby mu okazać swą miłość i pamięć.

Pieszcząc się ze zwierzęciem, stary żołnierz wypytywał dorożkarza, gdzie go kupił, gdzie mieszka, czy mu pozwoli przyjść czasem i nacieszyć się przyjacielem; a gdy otrzymał zezwolenie, uścisnął obie ręce dorożkarza, dziękując mu serdecznie.

— O czem ja myślę — zawołał po chwili. — Muszę przecież poczęstować — starego zucha. Poczekaj koniku, zaraz wrócę.

Wyciągnął ze swej mizernej kieszeni koronę, a po oczach jego widać było, że to suma dla niego ogromna. Nie zawahał się jednak ani chwili.

— Wielka rzecz — szepnął — nie kupię sobie dziś obiadu.

I za cenę własnego posiłku przyniósł za chwilę w dużej torbie papierowej, owsa dla towarzysza młodości.

Gdy biegł po owies, niktby w nim nie poznał zgnębionego i przybitego przechodnia.

Twarz zroszona przed chwilą łzami jaśniała pogodą, plecy wyprostowały się, nogi biegły z młodzieńczą żywością. — Dwadzieścia lat mu ubyło.

Nie wiem, co się dalej stało, bo straciłam z oczu obu przyjaciół i nie mogłam mimo poszukiwań, jakoś dowiedzieć się ich adresu, ale mogłabym prawie przysiąc, że żołnierz codziennie odwiedzał druha, że częstował go zawsze za cenę własnego jadła i że czuł się daleko mniej samotnym na ziemi.

Był szczęśliwym.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

— Lekarstwo, które mi Pan doktór zapisał, doskonale mi zrobiło na kaszel.

— Tak — rzecze doktór — muszę go spróbować, bo i mnie kaszel dokucza.

Nauczyciel opowiada o planetach. Gdy skończył odzywa się uczeń, który dotąd poważnie słuchał

— No dobrze, ale jeżeli nie wiemy, czy na innych planetach żyją ludzie, to skądże wiemy, jak się te planety nazywają?

Ktoś zapytał sześcioletniego Frania, ile lat ma narzeczony jego siostry.

— Nie wiem — odpowiada dzieciak.

— No to powiedz mi przynajmniej. czy jest młody?

— Tak, tak. niema jeszcze włosów!...

— Zamykaj prędko drzwi, chłopcze.

— A dlaczego?

— Bo na ulicy zimno.

— A czyż, jak zamknę, to będzie ciepło na ulicy?

— Co u ciebie słychać? — mizernie wyglądasz

— Atretyzm nie daje mi spać zupełnie.

— Jakto? przecież nigdy atretyzmu nie miałeś.

— Tak, ale ma go mój sąsiad, i po całych nocach jęczy.

— Jakiej uczyłeś się przyrody: żywej czy martwej — pyta nauczyciel przy wstępnym egzaminie.

— Ani żywej, ani martwej, tylko wypchanej — odpowiada kandydat do szkoły.

ROZSYPANKA.

Su - wil - tu - do - gnie-
na - ka - ra - cię - lę.

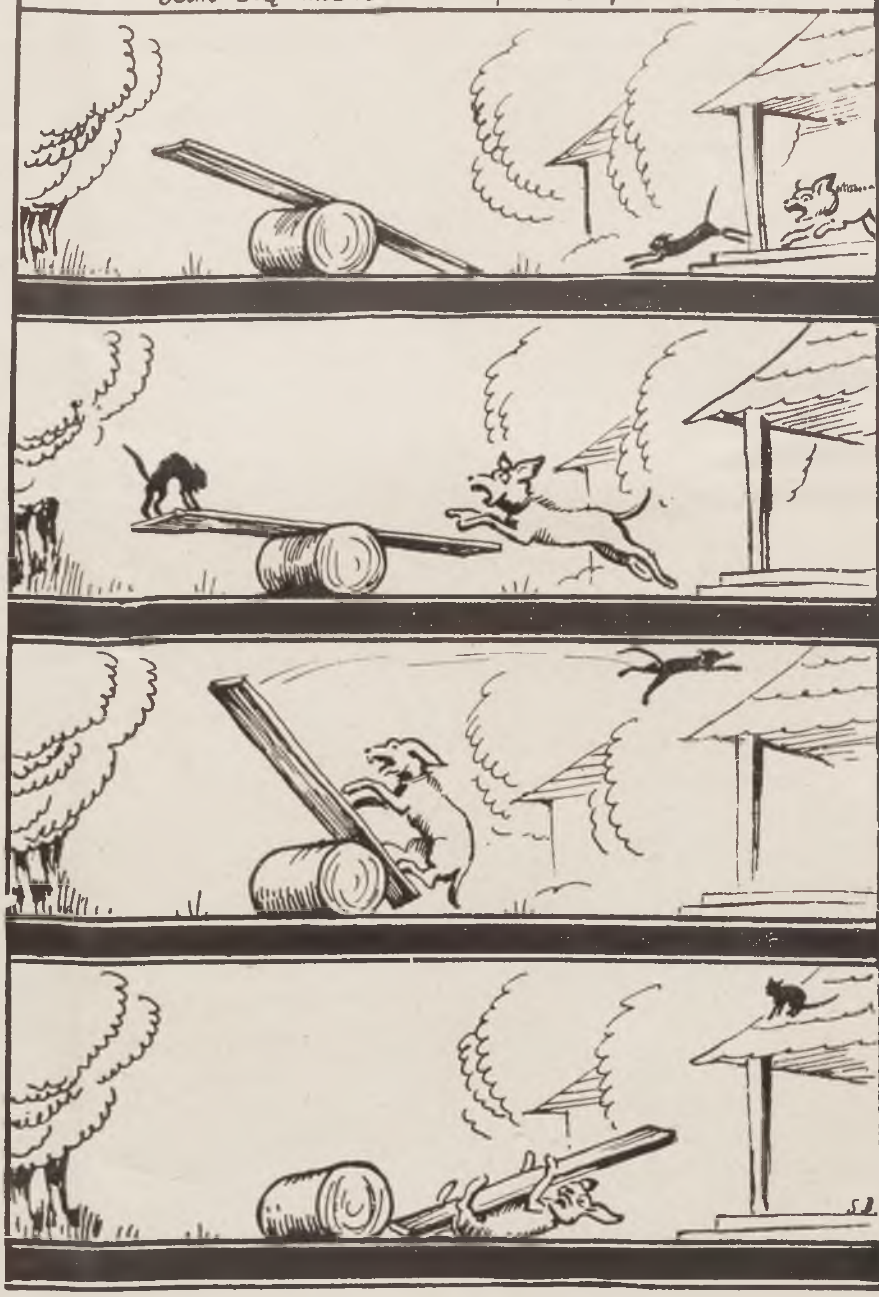
SZARADA.

Piewsze wprost — rzeka, a wspak zaimek.
Nad drugiem nie myśl bo to przyimek.
Rozkazującym trybem jest trzecie,
A w Małopolsce wszystko znajdziecie.

ZAGADKA.

Szedł Niemiec, Francuz, Polak do miasta — ile było osób?

Jak Miluś w wielkim strachu
przypadkiem znalazł się na dachu
i jak Burek, chcąc mu czarne poszarpać ubranie,
sam się znalazł w opłakanym stanie.



WYDAWCY: Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie. Redaktor: Jadwiga Kwilecka
Adres Redakcji i Administracji: „Wieści z Polski", Warszawa, ul. Krak.-Przedm. 6, m. 11, tel. 90-54.

Salezjańska Szkoła Graficzna Warszawa, ul. Ks. Siemca 6. Tel. 337-72.